



58 CzasKultury 2/2011

Spocona lektura Karola Maya

z Bronisławem Świdorskim
rozmawiają Jerzy Borowczyk i Michał Larek

fot.: <http://bi.gazeta.pl/im/5/5215/z5215715X.jpg>



Czytając Maya w ukryciu,
z latarką pod kołdrą,
byłem pewien, że
staję się mężczyzną.

Michał Larek: Dlaczego Karol May?

To ciekawe pytanie: kiedy sami zaczynamy wybierać lektury? Kiedy zaczynamy przebierać wśród książek, mówiąc: „nie, ta nie jest dla mnie, a tamta, o, jak najbardziej”? Wydaje mi się, że pierwsze książki nigdy nie są tylko lekturami. Aby stały się atrakcyjne, muszą nieść coś więcej... Zacząłem czytać Maya, bo robili to moi koledzy. Przede wszystkim dlatego, że pewnego dnia mój szkolny przyjaciel dał mi pierwszy tom *Winnetou* i powiedział, że chce, abym go przeczytał. Zrobiłem to, by poświadczyć przyjaźń. Nawet pierwsze lektury nie były bezinteresowne.

Chociaż chodziłem do szkoły w centrum Warszawy, a zatem w dzielnicy nie najbiedniejszej, chyba niewielu z nas miało własne książki. Może dlatego pożyczaliśmy je sobie...

M.L.: Wspomnienie lektury Maya to właściwie sceny, w których młody Broniek walczy o wolność, prawo decydowania o samym sobie, własną idiosynkratyczność.

Nie wiem, czy ta lektura była „walką o mnie”, czy raczej była bardzo typowa, młodzieżowa, chłopięca. Byłem przekonany, że robię to, co inni chłopcy w klasie. A właściwie, czytając Maya w ukryciu, z latarką pod kołdrą, byłem pewien, że staję się mężczyzną. Spocona lektura Maya to był ów rite de passage, dowód, że mam zadatki na „prawdziwego mężczyznę”, czyli takiego, który długo potrafi wytrzymać

pod kołdrą, bez powietrza. Nigdy nie byłem tego tak pewien, jak wówczas. Ciekaw jestem, jak czyta się Maya obecnie, gdy tak radykalnie zmienił się kontekst polityczny. Otworzyłem jego książki po 1956 roku, gdy nadal dochodziły odgłosy „polskiego Października”, a przede wszystkim ta najprostsza, od razu przez nas podchwycona dystynkcja polityczna: „my–wy”, „przyjaciele–wrogowie”, „prawda–kłamstwo” i tak dalej. To była rzeczywistość dorosłych, ale obowiązywała wszystkich. Dowiedzieliśmy się, że świat jest rozpołowiony, antagonistyczny, agresywny – i jednocześnie tajemniczy, skoro tej wrogiej części nie można było poznać, oczywiście, że nie, bo należało ją jak najszybciej zniszczyć!

A nieco poniżej agresywnych idei dorosłych był inny, także rozpołowiony i wrogi sobie świat: chłopcy i dziewczynki. Chociaż miałem siostrę bliźniaczkę, od dawna wiedziałem, że dziewczynka to tajemnica. Królestwo ryzyka. Siedzieć obok dziewczynki w jednej ławce było sprawą haniebną; dobrze wiem, co mówię, bo przez miesiąc zostałem właśnie w ten sposób „ukarany” za przeszkadzanie nauczycielce. To zresztą ciekawe, że kobieta-nauczycielka uznała bliskość dziewczynki za surową karę dla chłopca. Jak głęboko tkwiło w polskich kobietach, nawet wykształconych, przeświadczenie o własnej niższości...

A przecież jakoś się – codziennie – żyło w klasie obok dziewczynek. My, chłopcy pożyczaliśmy sobie *Winnetou* i *Old Surehanda* z poleceniem surowo przekazywanym debiutującemu czytelnikowi: „wpierw przeczytaj dwa tomy *Winnetou*, potem dwa *Old Surehanda*, i dopiero na końcu ten trzeci o *Winnetou*!”. Ta czytelnicza instrukcja obsługi była dla nas bardzo ważna, *Winnetou* bowiem ginie w trzecim tomie, a wciąż żyje na kartach *Old Surehanda*. Należało uchronić życie przed śmiercią, a w istocie obronić iluzję prawdy przekazaną w tekście. Pamiętam: gdy ktoś nie sprostał +

naszej recepcie i przedwcześnie zerknął „na koniec”, został surowo napiętnowany przez uznanych w klasie czytelników Maya, którzy odtąd odmawiali mu pożyczania kolejnych książek, twierdząc, że delikwent „nie wie, jak należy czytać”.

W ten kontrolowany sposób Karol May w ciągu roku przeszedł w naszej klasie przez wszystkie chłopięce dłonie. W tym samym czasie dziewczynki przekazywały sobie niedostępną dla nas, wielotomową Anię z Zielonego Wzgórza Lucy Maud Montgomery. Te dwa, starannie od siebie oddzielone obiegi stworzyły z nas pierwotne plemię, którego pierwowzór gdzieś daleko odkrył Bronisław Malinowski. Na Wyspach Trobriandzkich w procesie wymiany zwanej kula w jedną stronę wysyłano naszyjniki, a z drugiej otrzymywano naramienniki. Owa wymiana obowiązywała jak najbardziej serio także u nas i jeżeli ktoś zabrudził lub podarł książkę, a zatem zmniejszył jej „wartość”, musiał się dobrze z tego wytłumaczyć.

Oczywiście, kusiło nas, aby otworzyć Anię z Zielonego Wzgórza i porównać z Winnetou, chociaż nie wyobrażaliśmy sobie książki ciekawszej od biografii Apacza. Ale stanowiłoby to naruszenie niezwykle surowego tabu: książki dla dziewczynek nie były, jak wiadomo, tekstami dla chłopców. I odwrotnie. Zapewne baliśmy się także, iż dotykając „babskiej” książki, stracimy coś z owej z takim trudem osiągniętej męskości... Ale podwajała naszą ciekawość rzecz towarzysząca dziewczynskiej wymianie. Zazwyczaj podawały dalej kolejny tom Ani... wraz z podłużnym notesikiem w twardej oprawie, prosząc nową czytelniczkę o wpisanie się. A zatem bycie czytelnikiem wzbudzało w nich także pisarskie pragnienia: to było nowe i niepokojące. Jak one to robią!?

Gdy po dłuższej naradzie złożyliśmy się na pączka dla najsilniejszego chłopca w klasie, kilka dziewczęcych notesików znalazło się w zasięgu naszych dłoni. Pamiętam jeden z ty-

powych wpisów, ilustrowany zazwyczaj dwoma dużymi, czerwonymi sercami, złączonymi białą kokardą, którą nierzadko trzymał w dziobku tłusty gołąbek:

„Dwa serca złączone,
Klucz rzucony w morze,
Nikt nas nie rozłączy,
Tylko Ty, o Boże!”

Właśnie wtedy wydarzył się długo rozpamiętywany skandal: jeden z łobuzów klasowych skorzystał z okazji i bezczelnie wpisał do notesika najładniejszej dziewczynki:

„Ku pamięci!
Kupa mięci
mięci kupa
wpisał się ałojzy dupa”.

Oczywiście tę stronicę obrażona właścicielka musiała szybko i zręcznie wydrzeć, aby nie zniszczyć wartościowych wpisów. Pisanie i czytanie zawierało zatem przekaz o cenzurze i wiedzę, że nie wszystko można napisać i przeczytać.

Jerzy Borowczyk: Uderzyło mnie zaakcentowanie przez Pana swoistej bezdomności bohaterów Maya. Choć chyba lepiej byłoby tu mówić o odstawieniu, porzuceniu domu i rodziny. Czy to również przeżywał Świdorski-dziecko, czy też Świdorski-emigrant piszący esej o swoich książkach dzieciństwa?

Ależ ci bohaterowie Maya, których chcieliśmy naśladować, nie tylko porzucili swój dom rodzinny, ale i nie chcieli żadnego innego! Przecież pamięta pan ironiczną pogardę doświadczonych westmanów wobec zasypiania w domowym łóżku, pod kołdrą, gdy „pereria jest najlepszą poduszką”! Chroniczna bezdomność sygnalizowała pewną pozycję etyczną. Klasyczna etyka, co wiemy chociażby z Platonskiego Państwa, powstaje w zamknięciu, wewnątrz szczelnych murów miasta i granic państwa. Pojęcia etyczne zasiedziały mieszkańców rodzą się jak łańcuchy przy-

twierdzone do tych murów: zadaniem tych pojęć jest właśnie utrzymać obywateli „w ryzach”. „Sprawiedliwość to pomaganie przyjaciółom”, mówi Grek: etyka jest zawsze „domowa”. May ukazuje inną pozycję etyczną, zgodną zresztą z doświadczeniem społeczeństwa otwartego, dynamicznego, gdzie „przyjaciele” łatwo mogą się zamienić we „wrogów”, jak to się stało ze zdradzieckim Old Wablem z Old Surehanda. Gdzie normy indiańskie zostają zderzone z prawami białych panów i czarnych niewolników, a motywacja bezwzględnych poszukiwaczy złota z ekologicznym postępowaniem Apaczów. Tutaj wszystko się może wydarzyć – i to „wszystko” oznacza w istocie, że nasza nauka moralna jest niczym nieograniczona: co chwila pojawiają się nieznanymi ludźmi, ich skóra może mieć niezwykle barwy, a dobro i zło, jakie ze sobą przywożą, przekraczają konwencjonalne opisy, przekazywane od stuleci wewnątrz murów zamkniętego miasta. Samotny kowboj, spopularyzowany także przez amerykańskie westerny, jest właśnie głosi-cielem tej zmiany... i nie da się go już zapędzić pod kołdrę.

J.B.: Równie ważna staje się biografia niemieckiego pisarza. To zdecydowanie jednak czytanka dla dorosłych. Niebawem, że ten najpierw niewidomy, a później słabo widzący notoryczny kłamca, przestępca etc. staje się systematycznym pisarzem. Wyjaśnia Pan ten fenomen w swoim eseju. Czy nie warto by jednak do idei zadośćuczynienia i kwestii pochwały siły i porządkowania świata na własną rękę dorzucić także tęsknoty Maya za harmonią w międzyludzkich relacjach oraz za ideą czystej przyjaźni?

To prawda. May przeszedł w swoim życiu swoiste nawrócenie, które pozwoliło mu porzucić egzystencję kryminalisty. Stał się gorliwym wyznawcą Jezusa, ale chyba widział go jako Pierwszego Kowboja, samotnika, który nie bał się głosić swojej racji ludziom mającym władzę i autorytet. Niemiec nie zwracał chyba uwagi na przemianę Jezusa w Chrystusa,

to znaczy w symbol wszechpotężnej instytucji. May był zainteresowany ludźmi „pozainstytucjonalnymi” i chyba dlatego jego bohaterowie są ciągle w ruchu, aby nie obrosnąć w rodzinę, ziemię, sklep, bank... zauważmy, że nawet Winnetou zmusza autor do ciągłych i samotnych podróży, co musi zadziwić każdego etnografa, wiedzącego, jak ważna dla każdego plemienia jest stała obecność wodza. Ale May „wyciąga” swoje postaci z ich społecznego kontekstu. Nie chce, aby – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – posiadały stały interes rodzinny lub grupowy lub czuły się przedstawicielami narodu, zmuszonymi do obrony jego honoru. I chyba dopiero między takimi jednostkami, przypominającymi nieco urodzonego w tym samym miejscu i czasie nietzscheańskiego Nadczłowieka, mogło się „zaśkrzyżać”, mogła powstać więź harmonii i przyjaźni. A może była to Maya prywatna recepta na zalecenie europejskiego nihilizmu?...

Tak. Głosił utopię wszechludzkiej harmonii i przyjaźni idealnej, powiedzielibyśmy: platońskiej – i chyba wiedziony autentycznym pisarskim instynktem umieścił te marzenia na ziemi nieogładanej – w Ameryce.

Ciekawa jest w książkach Maya, ślepeca w okresie wczesnego dzieciństwa, dialektyka tego, co widzialne, i tego, co wymarzone. Opisu-jąc Amerykę lub Azję, był o wiele zuchwalszy i swobodniejszy od pisarzy empirystów, nie ograniczał swojej fantazji – i stworzył prawdziwy raj dla młodego czytelnika.

Dzisiejsi powieściopisarze Zachodu przeprowadzają z reguły gruntowny research przed napisaniem kolejnej książki, a w Danii otrzymują nawet obfite rejselagaty umożliwiające podróże do miejsc, gdzie ma się zatrzymać ich bohater. May, jak tyłu pisarzy europejskich przed nim, postąpił odwrotnie: najlepiej opisywał ziemie, których nigdy nie widział. A gdy wreszcie, pod koniec życia przyjechał do USA, był, rzecz jasna, rozczarowany... Jego alter ego, +

62 CzasKultury 2/2011

Old Shatterhand, od czasu do czasu opuszcza Amerykę, Azję i Afrykę i wyjeżdża „na urlop” do Niemiec, ale nigdy chyba nie przywozi z tych podróży dokładnego opisu kraju tak dobrze znanego Mayowi. Bo pisarz dobrze wiedział, że pisarska fantazja ma się najlepiej na ziemi wymyślonej. Jego strategia jest mocnym wkładem do nigdy chyba niezakończonych dyskusji: czy bohater powieści powinien być „prawdziwy” (jak żądał powojenny socrealizm), prawdopodobny czy wręcz nieprawdopodobny?

M.L.: Na czym zatem polegałoby „pożegnanie z dzieciństwem”, którego dokonuje Pan w eseju o życiu i twórczości Maya? Na wyrazistym uprzytomnieniu sobie, że książki z młodości, nawet te najbardziej „bezinteresowne” i rozrywkowe, bywają często maszynami promującymi ideologie albo antyideologie?

Interesuje mnie początek (i koniec) przeżyć i związanych z nimi myśli. Proszę zauważyć, że zwrot „pożegnanie z dzieciństwem” jest tutaj (a zresztą chyba zawsze) paradoksem. Bo i „żegnam się”, i jednocześnie raz jeszcze przywołuję dzieciństwo, pragnę je zatrzymać przy sobie. W tym sensie dzieciństwa nigdy nie można „pożegnać”, wbrew zaleceniom naszej kultury, która domaga się klarownego oddzielenia roli dziecka od dorosłego.

Dlaczego w Kopenhadze czytałem po polsku niektóre zabrane z Polski książki „z dzieciństwa” i jednocześnie utonąłem w skomplikowanych publikacjach Kierkegaarda? Czy istnieje jakieś „prawo”, dyktujące przejście od lektur dzieciństwa do lektur wyznaczających dorosłość? I jak owo „prawo” wygląda? Czy formułuje je wyłącznie świat zewnętrzny, czy, przede wszystkim, łaknienie człowieka wewnętrznego, który rośnie na nowych lekturach, ale i lubi powracać do przeszłości?

M.L.: Na początku naszej rozmowy powiedział Pan, że jego lektura Maya była typowa. Może i tak. Ale ten powrót nie jest typowy z całą

pewnością! Jest wybitnie idiosynkratyczny. Przecież po raz kolejny przekonujemy się, że „u źródła” Pana intelektualnej aktywności tkwi jakaś – czy ja wiem? – trauma, oskarżycielska pasja, buntownicza namiętność, gruntowna niezgoda...

Owszem, są rzeczy, których nie znoszę i próbuję je zmienić. Ale tuż obok jest ciekawość, może nawet przede wszystkim ciekawość. To fascynuje mnie w każdym człowieku: jaki był kiedyś, w jakich warunkach się zmienił i dlaczego. Jeżeli powracam do moich dawnych lektur i przeżyć, to czynię to, aby z m i e r z y ć d r o g ę – jak daleko zaszedłem, co zobaczyłem „po drodze” i czy to było ciekawe. Podam przykład: pamiętam głęboki szok, jaki przeżyłem, gdy zobaczyłem kolegę przekraczającego wszystkie znane nam normy i wpisującego „na złość” do notesika koleżanki przytoczony wierszyk o „kupie pamięci”. Zapewne dzięki tej traumie zapamiętałem to zdarzenie na całe życie. Owszem, byłem przewrażliwiony, pokręcony, ale nie bądźmy moralistami. Przecież ludzie są różni, nie przykrawajmy ich do naszych pojęć. Dzisiaj się śmieję z tamtego zdarzenia. I to mnie właśnie ciekawi: cóż takiego stało się „po drodze”, że przerażenie zamieniło się w śmiech? Po prostu, próbuję opisać moją drogę...

M.L.: Czy jest jeszcze inny „młodzieżowy” pisarz, do którego chciałby Pan wrócić?

W szkole czytałem także Makuszyńskiego i Morcinka obok różnych pisarzy sowieckich, których nazwisk nie pamiętam. W czwartej lub piątej klasie byłem pod wrażeniem opowieści wojennej Iwan Nikulin, marynarz rosyjski, ale poza tytułem i wrażeniem nic więcej nie pamiętam. Oczywiście pociągały mnie także, chociaż nieco słabiej, powieści Juliusza Verne’a. Jak pan widzi, wszystkich pobił May. Może oznacza to, że jestem wiernym czytelnikiem?

Poznań–Kopenhaga, marzec 2011
 fot.: Karol May w przebraniu Old Surehanda
 [s. 63]